

ŻYCIE DUCHOWE • WIOSNA 2000

## ŚLADY JEDNEGO ŻYCIA •

JACEK BOLEWSKI SJ

*Życie stracone – dla kogo?*

Dla mnie – proszę mi darować emfaticzny początek! – Andrzej Kijowski stał się w pewnym okresie najważniejszą postacią polskiego życia literackiego. Było to na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wielkie wrażenie wywarła na mnie zwłaszcza powieść *Dziecko przez ptaka przyniesione* – przeczytana zrazu w „Twórczości” (1966 rok), później w książce, drukowanej w lutym 1968 roku, wydanej może w marcu... Co mnie poruszyło? Śledząc ambitne dzieła polskich autorów spoza kręgu ściśle katolickiego, nie znajdowałem w nich odniesienia do sfery wiary i religii. Na tym tle właśnie powieść Kijowskiego stanowiła *novum*, przynajmniej dla mnie. Żywe było w niej echo liturgicznych nabożeństw i pobożności maryjnej. Od pierwszych stron pojawia się Panna, nie tylko jako figura w niszy na fasadzie domu, gdzie stoi „stopą ścierając głowę węża”, lecz i w dołączonej inwokacji narratora: „Panno uśmiechnięta, co zdobisz fasadę i wzrok przyciągasz przechodniów nabożnych, sprzyjaj opowieści i przychylność zjednaj tych, co ją poznają!”... W dalszym ciągu powieści Jej zjawienie się tworzy zgoła ważny element akcji! To wszystko – wyrażone w osobliwym, stylizowanym tonie – wzruszało, zostawiało trwałe ślady. Odtąd uważnie tropiłem kolejne publikacje pisarza. Z satysfakcją zauważyłem jego regularne pojawianie się w „Tygodniku Powszechnym” (od wiosny 1970 roku). Odczułem to tak, jak gdyby zbliżenie się „mojego” autora do bliskiego mi już wtedy pisma przybliżyło we mnie samą integrację literackich i religijnych pasji, poruszających się dotąd oddzielnymi drogami. Później – gdy znalazłem się w zakonie – ważniejsi stali się dla mnie inni, nie tylko pisarze... Do Kijowskiego wróciłem po jego śmierci, sięgając po teksty pisane już wyraźnie przez osobę wierzącą. Najważniejsze są pewnie *Tropy*, jednak one mnie rozczarowały, ściślej – nie poruszyły, pozostawiając wrażenie retorycznej i „laickiej” (w złym oczywiście znaczeniu!) teologii.

Po co ten osobisty wstęp? Ujemne wrażenia z ostatniej lektury sprawiły, że przestałem interesować się pisarstwem Kijowskiego. Konsekwentnie zatem nie zamierzałem sięgać po jego *Dziennik*. Ale nie byłem do końca konsekwentny w tym sensie, że niedawno – za głosem serca – powróciłem do *Dziecka przez ptaka przyniesionego*, jednej z kilku książek, które pozostały mi z okresu przedzakonnego. Wrażenie było równie silne jak uprzednio. Gdy przeto znowu pojawiła się pokusa, by sięgnąć do *Dziennika*, mimo wszystko jej uległem i powróciłem do bliskiego mi niegdyś autora <sup>1</sup>.

*Matka i „dziecko wielu też”*

Nie muszę tłumaczyć, dlaczego w *Dzienniku* zainteresowało mnie najpierw to, co daje się w nim znaleźć o *Dziecku*.... Wertując zapisy z lat jego powstania i wydania, które przypadają na pierwszy tom, nie znalazłem wiele. Szukając tytułu, natknąłem się na niego w przypisie redaktora tomu (Jana Błońskiego) do następującego zapisu pod datą 23 VIII 1966: „Powieść skończyłem. Było to, zdaje się, 8 sierpnia. [...] Już jest w wydawnictwie. [...] Miałem z nią 5 lat zmartwienia, a 10 miesięcy pracy, licząc od października zeszłego roku, i wliczając okresy zupełnego jej porzucenia”. Odnaleziony trop ułatwił odkrycie pozostałych śladów: wcześniejszej notatki o postępach w pracy, później – rejestru pozytywnych reakcji na publikację w „*Twórczości*”, poczynając od omówienia, którego autorem był zaprzyjaźniony z Kijowskim „Janek”, czyli sam Jan Błoński. Warto wspomnieć wymowny tytuł recenzji: *Niedobre, nieczułe dziecię*... Natomiast jedyne echo publikacji książkowej odzywa się pod datą 8 III 1968 (!) w formie „ostrzeżenia” z ust partyjnej pisarki przed uleganiem „intrygom żydowskim”. Kijowski miał usłyszeć od niej: „Pan w tym wszystkim jest takie dziecko przez ptaka przyniesione...”

Nie wiem, co było we wspomnianej recenzji przyjaciela. Wystarcza mi przypomnienie pełnego brzmienia początku III części *Dziadów*, gdzie Anioł Stróż upomina śpiącego więźnia: „Niedobre, nieczułe dziecię! / Ziemskie matki twej zasługi, / Prośby jej na tamtym świecie / Strzegły długo wiek twój młody / Od pokusy i przygody”. Tak, obok dziecka – już dorosłego – wyrasta postać umarłej matki... W *Dziecku*... Kijowskiego matka tytułowego bohatera-narratora była nieobecna. Widzimy przy nim zwłaszcza „dziadka”, choć aluzje w tekście wskazują, że „wnuk” był raczej synem starego, który z rozpacz po stracie jedyne go syna „znalazł” sobie dziecko z innej, anonimowej kobiety. Nowe światło na zagadkę *Dziecka*... pada nieoczekiwanie ze strony tekstu na początku *Dziennika*. Pierwszy tom otwiera *Dom* i trzy jego części: „Higiena”, „Modlitwy mamy”, „Czarny zeszyt”. Są to fragmenty większej całości, „Dziesięcioksięgu”, który Kijowski planował w ostatnim okresie życia, za późno, by możliwe było jego dopełnienie... Te jednoznacznie autobiograficzne relacje pozwalają stwierdzić obróbkę, jakiej uległy wcześniej wspomnienia z dzieciństwa w *Dziecku*. Wiele szczegółów się powtarza. Dziadek, ojciec matki pisarza, był w domu istotnie centralną postacią, ponadto – wyróżniającą najwyraźniej właśnie Andrzejka... Jednak większość tego, co przyszły pisarz zapamiętał o dziadku, łączyła się z matką, dla której – po śmierci jej ojca – stał się najważniejszy. Dlatego wspomnienia z dzieciństwa mówią zwłaszcza o niej. Co przeniknęło stąd do *Dziecka*? Na pewno „czarny zeszyt”, zbiór obrazków z historii Polski, w rzeczywistości prowadzony przez matkę, w powieści natomiast przypisany zmarłemu wcześniej synowi „dziadka”. Jeszcze bardziej uderza związek z... Maryją. Z autobiograficznej relacji wynika, że Andrzej Kijowski dołączył do grona postaci, które – jak Mickiewicz i Miłosz – zostały w dzieciństwie cudownie uratowane od śmierci, gdy matka poleciła dziecko Matce Bożej. Autor *Domu* widział w tym znak, że „mama [...] była tylko pośredniczką macierzyństwa właściwego, którego moc i łaska zdecydowały o tym, że żyję”. Była pośredniczką nie tylko czegoś, ale czyjaś, o czym przypominał wiszący naprzeciw łóżka „obraz Matki właściwej” („Higiena”). A zatem, nieobecność matki w *Dziecku* to nie wszystko, skoro jej miejsce zajmuje Panna, zarazem Matka...

Wyjaśnienie pojawia się w końcowym tomie *Dziennika*; skupiam się na nim, rzuca bowiem najpełniejsze światło na drogę życia Kijowskiego. Zaczyna się zapisaną w dniu 10 I 1978 uwagą: „Należę do tych, którzy krążą wokół Kościoła, nie mogąc zdecydować się ani na wejście, ani na odstąpienie”. To jakby podsumowanie dwóch wcześniejszych tomów, ostatni bowiem przynosi wreszcie decyzję. Najpierw uderza wzmianka o matce w dniu jej imienin (Wandy – 23 VI 1978). Wspomnienie zmarłej nie wzbudza „uczucie [...] żadnych – poza, oczywiście, uczuciem winy” za „wszystkie

brutalności i zaniedbania”, jakich syn dopuścił się wobec niej za życia i po śmierci: „Wiem, czego chciałaby ode mnie: mszy świętej w rocznicę śmierci, czy właśnie w imieniny, a tego nie robię”. Przełomem był wybór Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. Pierwsza wzmianka o nim w *Dzienniku* pojawia się dopiero 28 X 1978, gdy piszący przebywał w Kolonii: „Papież. Jeszcze nie mogę ochłonąć po tym, co się stało w dniu 16 października”. Wtedy także zapisał sen, znamienny, znany jeszcze przed wydaniem *Dziennika* z innych publikacji. Przypomnę tylko: śpiący wprowadza papieża do bazyliki, obaj są dziećmi przybranymi (przebranymi!) w szaty liturgiczne. Początkowe przerażenie śpiącego, świadomego niedopuszczalnej usurpacji, ustąpiło pod wpływem towarzysza doznaniu „spokoju i radości: jakbym coś niezmiernie ważnego pojął”. I poza snem dodał: „Coś się zamknęło, coś się otworzyło”.

Tak, utożsamienie z papieżem, uderzające we śnie, przenika zarówno wcześniejsze wspomnienia Kijowskiego związane z Wojtyłą, jak i późniejsze spotkania. Gdy wspomina jego kazania z czasu wikariatu przy kościele św. Floriana, pamięta: „miałem wrażenie, że mówię sam do siebie – tzn. objawiła się we mnie samym inteligencja, której eksplozji mogłem się spodziewać [...], chociaż przewyższała o wiele tę, jakiej dotąd dałem wyraz”. Młody wikary wskazał mu możliwość innej, pogłębionej wiary. Jednak nie doszło do osobistego spotkania, bo kiedy mijali się na ulicy: „Patrzył na mnie, zatrzymał się prawie, obejrzał, czekał na ukłon, na znak z mojej strony. Przeszedłem dalej, udając zupełną obojętność”. Odnowione po latach wspomnienie odblokowało inne, mnożące się odtąd w *Dzienniku*. Skupiam się znowu na tropie związanym z matką. Pobożność, którą przekazała dziecku, była chora, podszyta poczuciem winy, później rosnącą manią. Syn ulegał jej długo, fascynowała go niewątpliwie kościelna liturgia, w końcu jednak odrzucił religię, szukając uwolnienia od matki i domu, coraz bardziej obciążonego jej chorobą. Na ten właśnie czas przypadło również odrzucenie wikarego Wojtyły. Młody Kijowski wiedział, że był on spowiednikiem jego chorej matki, która zresztą sama nakłaniała syna, by także do niego się zbliżył. A więc to matka, wtedy jeszcze żywa, stała w tle nieudanego spotkania.

Bardziej tajemniczy jest udział matki – wiele lat po jej śmierci – w innym, udanym spotkaniu. Podczas audiencji w Rzymie (13 III 1980) dla realizatorów filmu o Papieżu (*Z dalekiego kraju*), do którego Kijowski napisał (z pomocą J. J. Szczepańskiego) scenariusz, doszło w końcu do krótkiej wymiany zdań. Najpierw autor poprosił o różaniec, a reszta została tak odnotowana: „Powiedział: straciłem pana z oczu. Pamiętam mamę, ojca, brata, no i pana, takiego studenta... A potem – powiedziałem tylko: przenieśliśmy się do Warszawy... Potem – powiedział – czytywałem Pana w ‘Tygodniku’. Zawsze czytałem...”. Uzupełnił to Kijowski w liście do ks. A. Bardeckiego, który pośredniczył w organizacji spotkania. Pisarz pragnął mu wyjaśnić, o czym myślał w czasie Mszy z Papieżem przed audiencją: „A ściślej mówiąc, głowę miałem zupełnie pustą, tylko przez cały czas widziałem przed sobą moją Matkę, którą Papież wspominał na końcu. Ale już nie umiałem nic więcej powiedzieć”. A chciał powiedzieć i to, co zdradza właśnie w liście: „...znam jego rozmowę na mój temat z moją Matką, której był ostatnim spowiednikiem. Przyszła kiedyś od spowiedzi i spytała mnie, co to znaczy ‘dziecko wielu łez’. Odpowiedziałem, że nie wiem, bo wtedy nie wiedziałem. Ksiądz Wojtyła powiedział jej przy spowiedzi: obserwowałem pani syna i pomyślałem sobie, że to jest dziecko wielu łez. Dopiero teraz niedawno, czytając *Wyznania* św. Augustyna, znalazłem to powiedzenie. To powiedział św. Ambroży Monice, kiedy ona się skarżyła na to, że syn zszedł na złe drogi...”

Matczyne prośby, zwłaszcza „na tamtym świecie”, na pewno chroniły „niedobre, nieczułe dziecko”... Jednak ono potrzebowało wielu jej łez i jeszcze więcej czasu, by w końcu docenić dobro, które zawdzięcza Matce. Dopiero 27 lat po jej śmierci w *Dzienniku* Kijowskiego pojawiają się wzmianki o budzącej się dla niej wdzięczności z

powracającą miłością (23 VI i 29 XI 1979). Wśród odkrytych dzięki niej wartości wymienia m.in. „powołanie”, dodając: „Pouczyła mnie o tym przez to, że mi swoje życie przedstawiła jako powołanie niespełnione, jako powołanie zdradzone. I przekonywała mnie – starała się przekazać mi jako główne przykazanie to, abym był wierny mojemu powołaniu. Czy je trafnie odczytałem? Dzisiaj myślę, że tak”. A wcześniej? Matka myślała najpierw o powołaniu zakonnym, które we własnym mniemaniu „zdradziła” ze względu na małżeństwo. Kijowski pisze o tym więcej w *Domu...* Wcześniejsze tomy *Dziennika* zdradzają także jego własne wątpliwości co do wyboru małżeństwa. W końcu jednak, o czym świadczy powyższy zapis i kontekst, jest pewien, że jego powołanie miało się zrealizować w rodzinie. Tak, ale najgłębiej utożsamiał się z powołaniem pisarza.

### *Spełnienie życia*

Dotykamy kolejnego wymiaru życia Kijowskiego. Literatura nie przyniosła pisarzowi spełnienia. Wiedział o tym, co jego *Dziennik* aż nadto poświadcza... Prócz „zwykłych” u twórców narzekań na trudności z pisaniem w okresach „posuchy”, pojawiają się u Kijowskiego głębsze wątpliwości. Nie wątpi, że pisanie było dla niego rodzajem autoterapii w opłakanej sytuacji domowej. Ale po latach ubolewa nad ułomnością zastosowanego lekarstwa: „Zamiast z mojej sytuacji wyciągnąć profit moralny i metafizyczny, zamiast pojąć ją jako dar, jako najgłębsze wtajemniczenie w istotę miłości i cierpienia... zabrałem się do jej klasowej, dialektycznej analizy”. Dodaje: „Wszystko było fałszywe. Bo w gruncie rzeczy myślałem o tym, ażeby przez literaturę zmienić swój status życiowy, nie o tym, aby się ‘wypowiedzieć’, czy o tym, aby dojść do jakiejś tam prawdy. Literaturę potraktowałem jako rodzaj kariery” (7 XI 1980). Tak udaremnił również ostatnie głębokie przeżycie religijne swojej młodości. Krótko wspominał o tym w drugim tomie *Dziennika*, gdy 9 XII 1977 notował: „Rok 1950 – grudzień – moja choroba, pobyt w szpitalu, wzruszenie, jakie tam przeżyłem z powodu sceny z wyśmiewanym chorym matolem – to był ostatni moment, kiedy mogłem być jeszcze zgłosić się do czerwonego domu pod Wawelem”, czyli – jak uzupełnia przypis – do krakowskiego seminarium duchownego! Gdy jeszcze raz powrócił do przeżycia sprzed lat, nie myślał już o powołaniu kapłańskim, ale dojrzał istotę swojej zdrady. Podczas owej choroby doznał bowiem „najczystszej przeżycia miłości do obcego, chorego, bezradnego, wydrwionego człowieka”. Wtedy, w obliczu wyśmiewanego przez innych chorych nieszczęśnika, dana mu była „myśl jasna i czysta: to o niego chodzi, to za niego dał się ukrzyżować Jezus. To jest ten, któremu nikt nie potrafi wymierzyć sprawiedliwości, ten, który uczestniczy tylko w czystej miłości Boga” (3 VII 1984). Nazajutrz uzupełnił: kilka następných dni w owym szpitalu przeżył „w nastroju uniesienia i olśnienia. Nie wiedziałem dobrze, co to olśnienie znaczy, jak je sobie w słowach przepowiedzieć; wiedziałem na pewno, że w praktyce oznacza to dla mnie powrót do praktyk religijnych, z którymi od jakichś dwóch lat zerwałem. Niestety, bardzo prędko, zbyt prędko zacząłem się zastanawiać nad tym, jak to doświadczenie przełożyć na formy literackie [...] No, i zostałem przy literaturze, która mnie nudziła, męczyła i nigdy nie dała radości” (4 VII 1984).

Wspomnienie powróciło po latach w okresie kolejnego pobytu w szpitalu, rok przed śmiercią. Przeczuwając jej bliskość, Kijowski wspomina swych najbliższych umarłych – ojca, matkę. W tym właśnie momencie wydobywa się z niego najszczerze, może najboleśniejsze w całym *Dzienniku* wyznanie – przyznanie się do tego, że jego „brutalne słowa” do chorej: „trujesz nam życie”, zostały wypowiedziane z „ukrytym, dawno pielęgowanym zamiarem zabicia jej...”, osiągając efekt, skoro skłoniło to matkę

do zażycia „ostatniej, fatalnej dawki” środków nasennych i przeciwbólowych... Ale bolesne doświadczenie jest obecnie pełne głębszego sensu: „Mówię o tym wszystkim spokojnie, bo mi Bóg grzechy przebaczył, a tym spokojniej teraz, kiedy mi zesłał fizyczne i moralne cierpienia na pokutę doczesną, na zapłatę doraźną. Spokojnie zbliżam się teraz do Boga, do ołtarza Bożego, bo mam ręce pełne ofiary łez i krwi” (2 VII 1984).

Wyznanie wskazuje, że wiara wciela się w jego życiu coraz pełniej, objawia rosnące zjednoczenie z Jezusem, wcielonym Bogiem. To już do końca go podtrzymuje, pozwala pogodzić się z ograniczonymi, ciągle malejącymi możliwościami działania. Wysiętek utrzymania się przy życiu do końca był – w świetle świadectwa *Dziennika* – ostatnim dziełem pisarza. Nie poddawał się cierpieniu, oddawał siebie Bogu. Z myślą o nie skończonym dziele pisarskim, zanotował w ostatnim roku: „Nigdy nie napiszę ‘księgi’, ale mogę ją złożyć z różnych okrucich i mogę pracować nad jej kompletowaniem” (7 XI 1984). Okrucich, jakie zdążył zebrać przed śmiercią, jednak nie wystarczyły. Spełniło się jego wcześniejsze przecucie: „pełnia mojego czasu, moich uzdolnień i moich radości nie jest z tego świata – czy też jest *tu i teraz* nie do zrealizowania. Mam może wygórowane przecucie owej pełni; może właśnie przecucie *właściwe*”. Więcej, uzasadnia to przecucie w świetle Wcielenia Boga, którego miłość wszystko wypełnia: „To Chrystus dowartościowuje każdą miłość niepełną i niepewną” (po 24 XII 1980).

### *Pisarz i dziecko*

Co jeszcze pozostaje do spełnienia? Powyższa refleksja w obliczu Bożego Narodzenia przybliżyła – może nie do końca świadomie – do tajemnicy Bożego Dziecka. Pisarz uświadamiał sobie, jak widzieliśmy, że długo krążył „wokół Kościoła, nie mogąc zdecydować się ani na wejście, ani na odstąpienie”. Jeszcze bardziej można to stwierdzić o jego krążeniu wokół dzieciństwa. Swoją wielką religijność owego czasu później oceniał krytycznie jako zarażoną chorobą pobożnością matki. Przyznawał zarazem, że dla literatury, która stała się dla niego „czynnością zastępczą”, nigdy nie znalazł „tego serca, które miałem kiedyś dla liturgii i teologii” (po 7 XI 1980). Tylko jako dziecko umiał się oddać w pełni swej pasji. Jednak pasja to więcej aniżeli namiętność – obejmuje także cierpienie. Trudne doświadczenie wiązało się z Matką. *Dziecko przyniesione przez ptaka* stanowiło pierwszy literacki ślad innej Matki, do której zwracał się nie tylko narrator, owo dziecko bez obecności matczynej, ale i pisarz.

Wspomnienie własnego dzieciństwa tak obciążało powrót pisarza do Boga, że bronił się przed pojnowaniem nawrócenia jako przyjęcia wiary dziecka. Pierwsze ślady refleksji w tym kierunku (26 X 1967) prowadzą później do rozróżnienia, które ma tłumaczyć jego „wahanie przed kościołem Wizytek”, a zatem przed wejściem do konkretnego warszawskiego kościoła, przypuszczalnie z myślą o sakramencie pojednania – spowiedzi. Widzi trudności: „Chcę wrócić do wiary dziecinnej, nie będąc dzieckiem. Wiara nie jest powrotem do dzieciństwa, ale zdobyciem pełnej dojrzałości – osiągnięciem konsekwencji absolutnej. Mylne ślady w Ewangeliach co do dzieciństwa jako stanu doskonałości” (11 VI 1968). Tak, „niedobre, nieczułe dziecię” nie wyobraża sobie wiary dziecięcej, różnej od dziecinnej postawy w początkach ludzkiego życia. Słusznie szuka rozróżnienia, trudno mu jednak otworzyć się na postawę dziecka Bożego. Pomógł mu – jak widzieliśmy – Papież, bo dzięki niemu Kijowski potrafił nie tylko pojednać się z Matką, lecz i pojąć siebie jako „dziecko wielu łez”. A wtedy pojął również, o co chodziło wielkiemu Prymasowi Tysiąclecia, którego wcześniej odrzucał.

Pod świeżym wrażeniem śmierci kardynała Wyszyńskiego pisarz notował w *Dzienniku*: „Więcej nas przyszło pożegnać go, niż przychodziło witać” (31 V 1981).

Jego refleksja weszła później do *Tropów*. A w notatkach *Dziennika* znajdujemy również uwagę: „Kardynał ustanowił w sercu polskim (a raczej wykrył i umiejscowił) stały punkt – mocny i niezmienny. I nadał mu imię Maryi. Nadał mu postać i twarz czarnej Matki” (29 V 1981). Później scharakteryzował postawę wielkiego Prymasa najkrócej, najpełniej: „Mąż stanu – dziecko, który wygrał z bandytami” (20 VIII 1982). Czy Kijowski pojmował teraz, że wiara dziecka Bożego nie jest dziecinna, lecz oznacza największą moc, płynącą z oddania, pełnego zawierzenia siebie – Bogu? Przeczuwał to, gdy w ostatnim roku życia wyznawał: „Byłem szczęśliwy tylko wtedy, gdy dałem z siebie wszystko, nic nie żądając w zamian. Ale niewiele było takich chwil” (10 IX 1984). Literatura, w której usiłował otworzyć się na swoje dzieciństwo, nie dała mu spełnienia. Znalazł je w oddaniu życia Bogu – w postawie Jego dziecka. Odnalazł siebie w Jezusie Chrystusie, który nie tylko „dowartościował” jego „niepełną i niepewną” miłość, ale dopełnił. Obiecał bowiem: „kto straci swe życie dla Mnie i Ewangelii, zachowa je” (Mk 8, 35).

<sup>1</sup> W dalszych rozważaniach odwołuję się do: A. Kijowski, *Dziennik 1955-1969* (tom pierwszy), 1970-1977 (tom drugi), 1978-1985 (tom trzeci), wybór i opr. K. Kijowska i J. Błoński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998, 1999.

DO GÓRY • NASTĘPNY